

Ewa Ostrowska

Ja, pani woźna



Kraków 2008

1.

Wystarczył mi rzut oka na syna rozgrzebującego jajecznicę na talerzu i od razu wiedziałam, co usłyszę.

– Tata. Chcę do taty – w ciemnobrązowych (po tacie), ocienionych długimi, gęstymi rzęsami (po mnie) oczach Szymka już zbierały się łezki. Najpierw będą nieśmiałe, jakby wstydlive, drżące, zasłaniane rzęsami, lecz potem mój syn wybuchnie protestującym, pełnym złości płaczem. Między jednym a drugim szlochom zarzuci mnie lawiną oskarżeń. To przez ciebie taty nie ma! Nawet nie pomogłaś spakować mu walizek! Nie odwiozłaś na lotnisko! Jakbyś odwiozła, to tata na pewno by się rozmyślił! A ty kazałaś mu wezwać taksówkę! Wrzeszczałaś na niego! Tak! Wrzeszczałaś! Okropnie! Na miejscu taty do takiej jak ty też nigdy bym nie wrócił! Nienawidzę cię! Chcę do taty!

Zazwyczaj spokojnie oczekiwałam atak syna. Musiał po prostu wykrzyczeć z siebie całą swoją tęsknotę za ojcem. Jeżeli w jego jedenastoletnim rozumieniu ktokolwiek ponosił winę za

wyjazd taty, to tą osobą byłam wyłącznie ja. Kogoś, biedak, musiał obciążać winą. Poza mną nie miał nikogo pod ręką. Wszelkie próby wytłumaczenia Szymkowi, że to nie jest tak, jak sądzi, kończyły się jeszcze gwałtowniejszymi wybuchami protestów. Mój syn wymazał z pamięci wszystko, co zakłócało wizerunek jego taty. Tata jawił mu się jako najczulszy, najlepszy tatuś pod słońcem. Który zawsze miał dla niego czas. Który prowadził go do kina, na lody, na mecze koszykówki albo na zwykły spacer po parku. Który co wieczór przychodził do niego, całował na dobranoc, otulał kołdrą. Który pomagał przy odrabianiu lekcji. „Tata, tata, tata. Nienawidzę cię! Chcę do taty!”

Czasem zdarzało się, że z powodu spuchniętych od płaczu powiek nie szedł do szkoły, a ja spóźniałam się do redakcji, gdzie wszystkie moje koleżanki patrzyły na mnie z udawanym współczuciem. Wredne małpy. Żadnej z nich, mimo usilnych starań, nie udało się poderwać mego męża. Och, nie dlatego, że był taki wierny i taki kochający. Nie. Mój mąż miał swoje żelazne zasady. Taki własny kodeks etyczno-moralny: zdradzam żonę tak często, jak mi się podoba, nigdy jednak nie sypiam z jej koleżankami. Zanim odkryłam te wyjątkowo „etyczne” zasady, trochę wody upłynęło w Wiśle. Prawdę mówiąc, odkryłam prawdę o mężu zbyt późno. Tuż przed jego wyjazdem do Anglii. Bynajmniej nie wyjeżdżał samotnie, lecz mniejsza z tym. Przebolełam to jakoś. Przynajmniej wmawiam sobie, że przebolełam. Jasna cholera! Szymek ryczy, że chce do taty, a ja

ryczę wieczorami w poduszkę, wyobrażając sobie, że zaraz, za chwilę usłyszę kroki mego urokliwego męża, wychodzącego z łazienki, pachnącego, niech go szlag, Egoiste by Chanel za dwieście pięćdziesiąt dziewięć zet polskich, kupowanych mu z okazji urodzin i bez okazji z mojej kasy. Niech mnie szlag, idiotkę, w dalszym ciągu idiotkę nad idiotkami, bo nadal tęsknię za jego zapachem, jego krokami zbliżającymi się do łóżka, jego najpierw tkliwymi, a potem namiętymi pocałunkami... No nie, przestań, babo, bo naprawdę trafi cię szlag!

Mój syn buntowniczym ruchem zwałił talerz z jajecznicą na terakotę kuchennej podłogi. Aha, zaraz nastąpi akt drugi pod tytułem: *Ja chcę do taty*, czyli robienie ze mnie kozła ofiarnego. Nic z tego. Dziś nie wolno mi się spóźnić do redakcji. Dziś muszę zrobić się na bóstwo. Dziś, według wszelkich znaków na niebie i ziemi, a przede wszystkim wnioskując po wściekłych spojrzeniach Jolki Zawidzkiej, mojej głównej konkurentki, czuję, że naczelny zamierza mnie awansować na kierownika działu kulturalnego. A ja w piżamie, włosy skołtunione, ciało domaga się nie tylko prysznic, lecz również wonnych olejków, gęba *sauté*, pod oczami wory i żadnej koncepcji, w co się przyodziać!

– Szymbek! – wrzasnęłam, zapominając, że przysięgam sobie na wszelkie świętości nie wrzeszczeć na rodzone dziecko. – Chciej sobie, ale kiedy indziej! Po obiedzie! Przed kolacją! Byle nie teraz! Teraz marsz pakować książki i do szkoły! Inaczej

twoja matka nie dostanie awansu, który się jej należy jak psu miska zupy! Inaczej twoja matka nie otrzyma również podwyżki, a wtedy ty pożegnasz się na zawsze z nowym komputerem! Jeszcze swego nie zdążyłam spłacić!

Wizja odpływania w niebyt nowego komputera zadziałała na mego syna niczym magiczna różdżka. Już go sobie wybrał w Avansie: Adax Delta, za prawie dwa patole, oraz nowy monitor plazmowy za ponad sześć stów. Obiecałam, że kupię, oczywiście na raty, kiedy otrzymam awans. *Tata to by mi kupił od ręki* – w taki oto sposób okazał mi swoją wdzięczność syn. Trudno. Przyzwyczyłam się. Przegrywałam z mitycznym tatą na każdym kroku.

– A dostaniesz? – zapytał niedowierzająco. – I nie wrzeszcz. Tata nigdy nie wrzeszczał.

– Dostanę. O ile się nie spóźnię na kolegium.

Mój syn raz jeszcze wykrzywił buźkę niby w tragicznym grymasie, westchnął jeszcze bardziej tragicznie i wybył z kuchni. Oczywiście, pozostawiając na podłodze artystyczną kompozycję w stylu tasyzmu: spontanicznie rozchłapaną żółć jajecnicową na seledynowej terakocie kuchennej podłogi.

Trudno. Niech zasycha. Może po powrocie z redakcji zrobię zdjęcie tego arcydzieła i zamieszczę je w swoim dziale kulturalnym jako odkrycie nowego talentu. Albo wyślę na jakiś międzynarodowy konkurs sztuki abstrakcyjnej. Przyjaciół mego męża, uznany malarz, otrzymał Grand Prix na Biennale w Wenecji, plus

pięć tysięcy euro za płótno, na którym przez dziurki w puszcze po piwie rozpryskał kilkanaście zajebistych kolorków.

Szorując intensywnie zęby w łazience, usłyszałam głośne trzaśnięcie drzwiami. Dobra. Szymka miałam z głowy. Teraz pozostały mi włosy na mojej głowie wraz z dylematem, czy upiąć je w nobliwy kok, czy też rozpuścić seksownie na ramiona. Wybrałam ramiona i wersję seksy. Okej. Nieźle. Całkiem nieźle. Szkoda, że mnie w tej chwili nie oglądasz, mężu. Cholera jasna, kiedy ja o nim przestanę myśleć? Trzy lata, jak wyjechał, na dodatek z panienką. Zresztą, jak przypuszczam, w wieku mocno średnim. Właścicielka sieci restauracji w Leeds, i nie tylko w Leeds, nie może być osiemnastoletnią młodką. O panience, oczywiście, dowiedziałam się w ostatniej chwili. Wcześniej mój mąż omijał w rozmowach obecność dzianej w restauracje osoby płci żeńskiej w swoim życiu. Celem jego życia byłam, oczywiście, ja. To dla mnie postanowił się poświęcić, zarabiając kasę w mglistym, niezdrowym klimacie Wysp Albionu i wrócić po roku. Do nas wrócić. Do swojej dumnej żony i jeszcze dumniejszego syna. Na tyle czasu podpisał kontrakt. Ale nie wrócił. Zmienił adres. Zmienił komórkę. Wątpię jednak, czy zmienił dzianą w restauracje panienkę. Chyba że znalazł bardziej dzianą. No ale jak to wszystko wytłumaczyć synowi, gdy ryczy: „Ja chcę do taty.”

Babo, przestań myśleć o panienkach męża. Skup się na sobie. Masz olśnić szefa. Kiecka, ot i problem. Wybrać długą

czy krótką? Zdecydowanie krótką! Mąż mi w chwilach czułości mówił, że uwiodły go moje nogi. Sześć też na nie zerka. Natomiast Jolka twierdzi, że w *moim wieku* nie wypada nosić kiecek do pół uda. Pewno, jakbym miała nogi podobne do dwóch słupów, zakrywałabym je skrzętnie długimi kieckami. *W moim wieku! W moim wieku!* Niech to szlag, niby ma rację. Trzydzieści sześć latek stuknęło! Ani się obejrzę, a czterdziecha na karku oraz kurze łapki pod oczami. Aliści na razie obywam się bez żadnych łapek, kurzych czy indyckich. Na razie nie muszę odziewać się w zgrzebny worek ani zasłaniać twarzy niczym muzulmanka.

Jeszcze resztki ulubionych przez mego męża (czy ja z nim nigdy nie skończę?!) perfum Chanel Chance za dwieście trzydzieści zet, które, ostatnia idiotka, kupowałam za swoją kasę, żeby jemu sprawić przyjemność, ponieważ całując mnie w szyję, szeptał o podniecającym go zapachu, niech to szlag! Mego męża i ten podniecający zapach też! Odkąd zmienił adres oraz numer komórki i po trzech miesiącach przestał przysyłać dwieście funciaków na Szymka, utrzymuję się ze skromnej pensyjki. Na codzienne, szare dni muszę zadowolić się dezodorantem Fa oraz perfumowymi podróbkami za dwadzieścia złotych.

Wypadłam z domu. Bez makijażu. Nie szkodzi. Zdążę. O tej porze zwykle stoję w dwóch korkach: pierwszy przy skrzyżowaniu Lutomierskiej z Zachodnią, drugi, o wiele dłuż-

szy – przy skręcie z Zachodniej w Aleje Piłsudskiego. Oczywiście, złom nie chciał odpalić. Pamiątka po mężu: czterastoletni volkswagen. Tyle mi zostawił. Oraz własnościowe czteropokojowe mieszkanie w apartamentowcu. Do którego to mieszkania nie posiadam żadnego prawa, ponieważ należało do męża zanim oszalał na moim punkcie i poprowadził mnie miłośnie przed znudzone oblicze urzędnika w Pałacu Ślubów na Piotrkowskiej.

– Zapal, najdroższy – przemawiałam czule do rzęzącego resztkami sił akumulatora. Rzęził nadal. Nie słuchał. – Ty cholero, zapal! – wrzasnęłam.

No i proszę. Posłuchał. Tak trzeba było z mężem: ty cholero zamiast kochanie moje.

Korki, jak na złość, okazały się krótsze. Zdążyłam powlec tuszem rzęsy lewego oka. Drugie, pomyślałam, upiększę w redakcyjnej toalecie.

Na parkingu ani jednego wolnego miejsca. Trudno. Zaparkowałam za znakiem zakazu zatrzymywania. Nim zdążyłam zgasić silnik, wykwitł przede mną policjant. Młody, stwierdziłam z zadowoleniem. Z młodymi mi się zazwyczaj udawało. Wystarczył uśmiech numer trzy. Stosowałam go zawsze w chwilach zagrożenia. Był to uśmiech nieśmiały, zażenowany, przepraszająco-błagający, równocześnie ukazujący moje użębenie w pełnej krasie. Mój mąż mówił, że poza nogami uwiodła go również biel moich zębów.

– Dokumenty! – Policjant jakby nie dostrzegł uśmiechu numer trzy.

– Ale ja na chwilę... Na dwie minutki.

– Dokumenty!

– Już odjeżdżam...

– Dokumenty!

Jasny gwint! Policjant to czy katarynka? Nie zna innego słowa poza tym jednym?

– Dokumenty!

– Dobra, dobra. Co z pana za człowiek?

– Dokumenty!

Co za cholera? Czemu tak długo sprawdza prawo jazdy, zerkając nieufnie to na moje zdjęcie, to na mnie?

– Pani czeka. Muszę sprawdzić. – Już pojęłam przyczynę jego niechęci. Był co prawda młody, ale wyjątkowo nieatrakcyjny. Niski, wąziutki w ramionach. Spiczasty, długi nos. Małe oczka. Wąskie usta. Pełno wągrów na buźce. Za takim żadna laska się nie obejrzy. Chyba że niedowidząca. Biedaczyna cierpi na kompleks niedowartościowania. Nie znosi ładnych kobiet. Ulgi nie będzie. Taki nie popuści. Chyba że go zaga-dam. Ten sposób również czasem się sprawdzał wobec nie-przeje-dnanych policjantów z drogówki.

– Co pan zamierza sprawdzić? Moje punkty karne? Jak Boga kocham, mam czyste konto. Jeżdżę zgodnie z przepisami.

– Widać, jak jeździ – odpowiedział ponuro policjant. – Parkuje taka za znakiem zakazu zatrzymywania. Z podejrzanym prawem jazdy.

– Jak to: podejrzanym? – oburzyłam się, myśląc z rozpaczą, że ani chybi spóźnię się na kolegium. Szef też ma dzięki pomysły. Kolegium redakcyjne o dziewiątej rano? Najwcześniejsze, od kiedy pracuję w „Pięknym Życiu”, odbyło się o dwunastej.

– Falszerstwo. Za to się idzie siedzieć. – Mój policjant nagle ogromnie się ucieszył. Zęby miał nie pierwszej świeżości. Chuch też.

Falszerstwo? Zdenerwowałam się. Jakiś wariat, nie policjant. Albo policjant sadysta. Z takim nie wygram. Awans diabli wezmą. A dokładniej Jolka Zawidzka.

– Panie, w czym pan upatruje owo rzekome falszerstwo? Przynajmniej niech mi pan wyjaśni! – Zrezygnowałam z uśmiechów. Taki zakompleksiony facet dla samej satysfakcji gotów jest mnie aresztować.

– Zdjęcie. Na zdjęciu w prawie jazdy wygląda inaczej. Oczy inne.

– Inne? Panie, od urodzenia mam jednakowe. Niech się pan uważnie przyjrzy. Kolor: piwne.

– Kolor się zgadza. Ale oczy nie. Teraz ma lewe większe, a prawe mniejsze.

– O Jezu, a jakie mam mieć? Lewe zdążyłam umalować, a prawego nie!

I kto tam w policji zatrudnia podobnego debila? Miałam dość. Najwyżej niech mnie ściga. Lecz wydał mi się zbyt głupi na podjęcie szybkiej decyzji. Niskie czółko, mały mózdzek. Ryzyk-fizyk. Bez ryzyka nie ma życia, jak mówi moja jedyna przyjaciółka, Elka Popielska.

– Panie władzo! Proszę bliżej... Jeden kroczek... Jeszcze jeden, malutki... Świetnie... Dzięki, panie władzo! – Szybki ruch i dokumenty moje! Noga na gaz i chodu. Dureń! Po prostu osłupiał. Więc pomachałam mu wdzięcznie na pożegnanie odzyskanym prawem jazdy. – Pa, pa!

Oddalając się, nasłuchiwałam za sobą wycia syren policyjnych. Nie wyły. Chwała Bogu. Zawróciłam, przejeżdżając linię ciągłą. Pan policjant wciąż tkwił jak słup przy słupie ze znakiem zakazu. Ciekawe, czy pomyślał, żeby zapisać mój numer rejestracyjny. Sądząc po jego minie – nie zapisał. I nieprędko też zrozumie, co się stało.

Cholera! Na kolegium zdążę, lecz oka za Chiny umalować nie zdążę. Trudno. Będę oryginalna. W końcu szef nie dla moich umalowanych oczu zamierza przyznać mi awans, ale dla moich niepodważalnych kompetencji. Od dawna powtarzał, że jestem *the best*.